

Martyna Wojtkowska: Tu podcast non/fiction „NA UCHO”. Nazywam się Martyna Wojtkowska i rozmawiam z autorami tekstów magazynu „non/fiction”.

„Reportaż, to jest chyba styl życia, a nie zawód”

Pierwszy sezon poświęcamy mediom. Mamy już dość krzykliwych nagłówków i sensacji. Czy nie powinniśmy szukać nowych sposobów opowiadania o świecie?

Odcinek 3. Skąd się biorą bańki.

Martyna Wojtkowska: Odcinek trzeci zaczniemy od trzech zaskoczeń: Pierwsze zaskoczenie jest takie, że po Tanzanii i Madagaskarze jesteśmy na Kępie Zawadowskiej. Drugie zaskoczenie jest takie, że nareszcie mogę porozmawiać z gościem twarzą w twarz, bo pierwsze dwa odcinki odbywały się na odległość, zdalnie. No i trzecie zaskoczenie, kim jest ten gość, czyja to twarz? Pani Janina Jankowska. Dzień dobry.

Janina Jankowska: Dzień dobry, witam serdecznie w swoim królestwie.

M.W.: Jesteśmy w królestwie Janiny Jankowskiej. To zaskoczenie wynika też z tego, że zazwyczaj rozmawiamy z osobami, które pisały teksty do magazynu „non-fiction”. Natomiast chciałabym z panią porozmawiać dzisiaj na temat tego, jak zmieniały się media na przestrzeni lat. No i wydała mi się pani idealną osobą do opowiedzenia: jak było, jak miało być, jak jest i co z tego wyszło. Mam wrażenie, że ja jako odbiorca mediów jestem w jakiejś bańce, w jakimś obszarze, że słucham jakichś mediów, ale te media nie budują za bardzo porozumienia.

J.J.: Pani już mówi z doświadczenia 2020 r.

M.W.: Tak, tak.

J.J.: A zanim doszliśmy do tej patologii, to stało się bardzo wiele. To nie jest źle, że taka powstała różnorodność.

M.W.: Ale powiedziała pani, że to jest patologia 2020 r.

J.J.: A, nie, w 2020. patologia polega na tym, że żyjemy w bańkach i że między tymi mediami nie ma takiej autentycznej debaty publicznej, tylko jest taka wieczna nawalanka.

M.W.: Media dzielą, nie łączą.

J.J.: Tak. Ten styl uprawiania polityki przenosi się w dół, nie tylko do mediów. Do rodzin też, które się kłócą między sobą, w zależności od tego, kto jest czyim zwolennikiem - czy PiS-u, czy anti-PiS-u. W tym sensie nastąpiła patologia, że – moim zdaniem – nie ma takiej rzeczowej debaty. Owszem: w ramach jednej bańki zaprasza się gościa, który myśli troszkę inaczej, ale zawsze jak jest zaproszony, to albo jest w mniejszości, albo się go potraktuje tak, żeby wyszedł jak najgorzej, prawda. I to robi jedna i druga strona, absolutnie. Linia programowa określonych stacji jest bardzo wyrazista, takich stacji jak TVN, czy radio i telewizja Trwam, czy nawet Polskie Radio i Telewizja. I tu jest moment, w którym ja uważam, że jest szczególna patologia. Bo uważam, że w demokracji, absolutnie, niech będą te wszystkie media – że tak powiem skrajne, prywatne, mające swoją linię programową – i niech słuchacz ma możliwość wybrania, co myślą o tym katolicy, co myślą o tym lewica, co myślą liberałowie i tak dalej, o danym wydarzeniu.

M.W.: Yhym.

J.J.: Natomiast: wara od mediów publicznych. Dlaczego wara? Bo media publiczne powinny mieć absolutny dystans do wszystkiego. To znaczy, oczywiście, ich obowiązkiem jest pokazania jakie jest stanowisko rządu i rządzących, ale powinny dawać możliwość wypowiedzenia się każdej opcji i każdemu punktowi widzenia.

M.W.: Ale jak to zrealizować? To nie jest takie proste.

J.J.: Wie pani, moim zdaniem to jest bardzo proste. Ale myśmy się już tak zakłótasili w tej walce politycznej, że w tej chwili wydaje się to niemożliwe.

M.W.: A pani widzi jakąś drogę wyjścia z tego klinczu? Bo to jest klincz, to co się zadziało.

J.J.: Klincz, ale niestety ten klincz powinien być rozwiązany na górze, bo to się niestety wzięło stąd, że jeszcze zanim PiS doszedł do władzy w 2005 r., kiedy KRRiT, jej członkowie powinni być wybierani, i przewodniczący, przez sejm – bo każdy kandydat przechodzi przez sejm – to już w tamtym okresie, kiedy prezydentem był Lech Wałęsa, to on już dokonał wbrew konstytucji, wbrew prawu, dokonał zmiany przewodniczącego KRRiT. Lata dziewięćdziesiąte. Jeszcze nie ma Kaczyńskiego, jeszcze nie ma PiS-u, tzn. Jest tam PC i tak dalej, jest prezydent, jest Krajowa Rada.

M.W.: Yhym.

J.J.: I on zdejmuję z Krajowej Rady, już nie pamiętam, którego on zdjął. Osadził człowieka, który był mu bliski. I demokracja nasza nie umiała temu się przeciwstawić. I to się zdarzyło. A było to ewidentne złamanie konstytucji. Więc, wie pani, takie łamanie konstytucji to zaczynało się dosyć wcześnie. Teraz wracamy do 2005 r. Kiedy idąc tym samym tropem po bandzie, PiS, czyli mówię w tej chwili nie Jarosław Kaczyński, też zmienia – ponieważ mają większość w sejmie. Gwałtownie zmieniają ustawę o radiofonii i telewizji. Nowelizują ją w taki sposób, że wybrani członkowie nie muszą być z różnych opcji. I teraz, PO zdobywa władzę w 2007 r. i robi dokładnie to samo – wybiera nowych członków, w których są wszyscy, tylko nie ma PiS-u. I to jest ten proces zawładnięcia instytucjami na wyższym szczeblu, które decydują o uporządkowaniu naszego życia. W tym momencie Krajowa Rada, w której nie ma PiSu, tylko jest samo PO i PSL, mianuje swoich. I ja przez te epoki przechodziłam.

M.W.: I pani widziała, pani obserwowała co się dzieje. I z punktu widzenia dziennikarza, pani miała jakieś poczucie, że jako pojedynczy dziennikarz, jest pani coś w stanie zrobić?

J.J.: Nie, tylko proszę pani, tylko widzi pani, to jest jeszcze jeden proces, że to nie zależy tylko od wierchuszki. To zależy też od dziennikarzy na innych stanowiskach.

M.W.: No właśnie, o nich pytam, czy dziennikarze – ci najniżej – mogą coś zrobić?

J.J.: Oczywiście. To nie było tak, jeszcze w tamtym okresie, że to był nakaz. Był, pamiętam, taki prezes z ramienia PSL, chyba Popiołem się nazywał. Ja wtedy założyłam Studio Reportażu i Dokumentu. On mnie wezwał i mówi: „pani Janko, może zadzwoni pani do Sawickiego z PSL-u spytać, jakie tam tematy w reportażu byłyby dla nich dobre?”.

M.W.: Tematy z nadania. I co pani wtedy robi?

J.J.: No nic nie robiłam. Nie dzwonię, przecież nie mam żadnego nakazu. Spojrzałam na niego ze współczuciem, no i co będę robiła, absolutnie, że nie. No przecież wie pani, przecież mogłam, jako szef Studia Reportażu i Dokumentu mogłam każdy temat puścić. To zależało ode mnie.

[muzyka]

M.W.: Chciałabym zapytać o pani początek. Z czego to się wzięło, jak to się stało, że została pani reporterką, dziennikarką?

J.J.: Pamiętam, że ja chciałam być dziennikarką całe życie. Miałam 12–13 lat i rozmawiałam z koleżankami, że ja chciałam być dziennikarką. Nie wiem, dlaczego. Mój tata ciągle słuchał radia, tego BBC i tych wszystkich. I ja lubiłam radio, słuchałam radia, ale nie myślałam o dziennikarstwie specjalnie radiowym. Poszłam na polonistykę i skończyłam tę polonistykę i usiadłam przy telefonie i zaczęłam dzwonić do wszystkich redakcji. Pamiętam była tak: „Kobieta i życie”, „Filipinka” – do takich kobiecych redakcji. I mówię, że tak się nazywam, skończyłam studia i mogłabym u państwa pracować. I oczywiście wszyscy mi odpowiadali, że „nie, nie, dziękujemy, na razie nie mamy miejsc”. No i przez przypadek do radia dostałam się, zresztą też dzięki koleżance, która była na wczasach w Juracie i tam było takie towarzystwo – i tam był taki dziennikarz z redakcji oświatowej Polskiego Radia, który chciał młodą dziewczynom imponować i powiedział „może któraś z was chce pracować w Polskim Radiu, bo akurat zwolniło się miejsce?”. A ja, po tych telefonach do redakcji, byłam na lodzie. No i ona mówi, masz telefon do faceta, zadzwoń, może tam coś cię zainteresuje. No i zadzwoniłam, spotkałam się z nim w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, no i okazało się, że to miejsce, to jest redaktor techniczny, w redakcji przyrodniczej. Potem się okazało, że jednak nie redaktor techniczny tu, tylko mnie przerzucano do tzw. redakcji języków obcych i poradnika językowego profesora Doroszewskiego. No i ja miałam najpierw tak zwany wydawniczy etat, tzn. redagowałam te audycje, bo te języki trochę znałam i profesora Doroszewskiego prowadziłam do studia. Tekst przygotowywałam i tak dalej. Ale mnie zaczęło interesować, bo tu koledzy robili coś ciekawszego.

M.W.: Coś ciekawszego, coś było?

J.J.: Więc nauczyłam się montować sama. Wtedy jeszcze montowało się na tzw. klej. Aha!. No i zaczęłam pisać felietony, jakieś słuchowisko napisałam. No jak się tego nauczyłam, no to wtedy właśnie pomyślałam o reportażu. Bo słuchałam radia, słuchałam reportaży radiowych. No i zrobiłam pierwszy reportaż, który – z koleżanką, zresztą z jedną taką dziennikarką...

M.W.: Jako 21-latka...

J.J.: Miałam 21 lat, tak. I to dostało pierwszą nagrodę. Jakoś dzięki temu udało mi się wejść do redakcji reportaży literackich, gdzie już zaczął się nowy etap, bardzo ciekawy zresztą, fajny. Mówię pani, ja miałam bardzo fajne, dobre stosunki i z szefostwem i z kolegami, którzy byli każdy z innej beczki.

M.W.: Wspomniała pani o roli polityki. Chciałabym w tym kontekście przywołać taki cytat, który pojawia się właśnie w magazynie, z prośbą, żeby skomentowała pani, co pani o tym sądzi: „Teraz nie tylko dziennikarze nie ufają politykom, ale i odbiorcy nie ufają dziennikarzom. Media publiczne w wielu krajach nie spełniają swojej funkcji. Stały się tubą propagandową”.

J.J.: O, to już od dawna.

M.W.: Czyli zawsze tak było?

J.J.: No w zasadzie tak. Zaufanie do dziennikarzy było... no na zachodzie już te procesy takiego nieufania mediom zaczęły się bardzo wcześnie.

M.W.: Czy pani się już z tym spotkała, że rozmawia pani z ludźmi, z bohaterami, po prostu, jak człowiek z człowiekiem i czuła pani od nich brak zaufania?

J.J.: Wie pani, no był taki czas w okresie PRL-u, że generalnie nie było zaufania do radia, czy do telewizji. Najlepszy dowód, kiedy ja wchodziłam w sierpniu 1980 roku do Stoczni Gdańskiej – przypominam tutaj ten wielki strajk w Stoczni Gdańskiej – to ja nie chciałam powiedzieć, że jestem z Polskiego Radia, tylko się włączyłam w kolegów i powiedziałam, że ja jestem z literatury. Bo by mnie nie wpuścili, gdybym powiedziała, że jestem z Polskiego Radia.

M.W.: Ale redakcja wtedy też pani nie puściła.

J.J.: Oczywiście, że nie. Miałam wtedy nawet zabronione jechać w delegację na północ. To jest jasne. Ja wyjechałam dlatego, że wzięłam dwa wolne dni dla matki z dzieckiem. Wyrodna matka. A ponieważ dla ludzi było tak widoczne, że tutaj uczestniczą w strajku, który ma określoną atmosferę, coś się w tym strajku dzieje, a radio i telewizja mówią, że są przerwy w pracy. No więc trudno o bardziej sytuację jaskrawą, w której ta rzeczywistość, jaką widzieli ludzie, na własne oczy w niej nawet uczestniczyli, była inna w stosunku do tego, jak to opisywała prasa. Więc właśnie wtedy był taki bojkot telewizji i radia. I dlatego nie mogłam się przyznać do tego, że jestem pracownikiem radia.

M.W.: Co pani wtedy myślała? No bo liczyła się pani z tym, że ten reportaż, do którego zbierała pani materiały, nie pójdzie w Polskim Radiu.

J.J.: Oczywiście, że tak. Uczestniczyłam w takim przełomowym momencie historycznym. I kiedy ja wchodziłam na Stocznnię Gdańską, to nie myślałam o reportażu. Bo przecież wiedziałam, że żaden reportaż z tego, co ja nagram, się w tej chwili nie ukaze. Ale wiedziałam, że muszę nagrywać, że muszę dokumentować, że muszę zarejestrować i muszę być tu i widzieć na własne oczy co się dzieje.

[Fragment reportażu]: *Nie mam teraz czasu dla ciebie, nie widziała cię długo matka. Jeszcze trochę poczekaj, doróżnij, opowiemy ci o tych wypadkach. O tych dniach pełnych nadziei, pełnych rozmów i sporów gorących. O tych nocach kiepsko przespanych, naszych sercach mocno bijących. O tych ludziach, którzy poczuli, że są wreszcie u siebie.*

J.J.: I to jest, wie pani, ważne u dziennikarza, że dziennikarz musi tam być, bo dzisiaj dziennikarstwo powstaje już przy telefonie, w pokojach redakcyjnych i ściąga się informacje z internetu. Dziennikarze nie idą tam i nie widzą tego człowieka, którego głos słyszą nagrany już gdzieś tam przez kogoś innego, tylko wszystko biorą z internetu. Ta wypowiedź przeszła przez jakieś sito jednej osoby i przyjmuje się to, co jest w internecie, czyli konsekwencje tego, co ktoś zobaczył. I to się przyjmuje. A to może być tylko rzecz jednowymiarowa.

M.W.: Ale wróćmy do stoczni jeszcze. Co się zadziało później? Pani nagrała tych bohaterów i co?

J.J.: Dziesięć dni siedziałam non stop w stoczni, od rana do nocy, i uczestniczyłam w wydarzeniach. W tym sensie, że kiedy ja weszłam do stoczni, to jeszcze żadnych mediów nie było. Jeszcze nie rozpoczęły się rozmowy między komitetem strajkowym a delegacją rządową. Dopiero były spotkania tzw. plena, w tej sali słynnej – BHP, które to plena prowadził Lech Wałęsa. I dopiero wtedy dyskutowano o tym, żeby wysłać tę delegację stoczni do wojewody, do pierwszego sekretarza z prośbą o rozpoczęcie rozmów. I ja w tym uczestniczyłam, wobec tego nie widziałam. Delegacja poszła. I też nie

wiedzieliśmy, czy delegacja zostanie zamknięta, czy delegacja wróci, czy będą efekty, czy nie będzie tych efektów. Delegacja wróciła i w końcu rozmowy się zaczęły. Ale rozmowy miały też taką swoją dramaturgię. W każdej chwili mogły zostać zerwane, bo tam chodziło o to, żeby w tych umowach sierpniowych zawrzeć takie pojęcie przewodniej roli partii, na które się strona strajkowa nie chciała zgodzić. Więc myśmy nie wiedzieli... Gdzie ja wtedy myślałam o reportażu, w sensie, że ja zrobię reportaż, który za chwilę zawiozę do radia.

M.W.: Pani po prostu była i dokumentowała żywioł.

J.J.: Nie wróciłam do pracy po tych dwóch dniach, czyli dokonałam pierwszego wyboru uznając, że ważniejsza jest moja obecność w stoczni i dokumentowanie tej rzeczywistości, niż etat radiowy. Szczęśliwie skończyło się tak, że podpisali umowy sierpniowe, także wróciłam spokojnie do radia i nawet moja szefowa przywitała mnie z kwiatami. To było tak ewidentne, że to są ważne sprawy dla całego kraju, że etat radiowy nie miał tu żadnego znaczenia.

M.W.: W takim razie posłuchajmy reportażu „Polski Sierpień”. Warto przypomnieć, że ten reportaż, w 1981 r. zdobył nagrodę Prix Italia, która często jest nazywana Oscarem radiowym.

[Fragment reportażu]: *Stocznia Gdańska, 16 sierpnia. Jeśli do godziny 18 strajkujący nie opuszczą terenu stoczni, wygasa udzielona im gwarancja bezpieczeństwa osobistego.*

- Do mnie sąsiad taki dalszy mówi: „Lechu, ty kurcze, mówi, ty naprawdę zdajesz sobie sprawę z tego co ty robisz, mówi. Troje dzieci masz, mówi. Chłopie, mówi. Ciebie wyróżną w pień, mówi”. Mówię: „Witek, mówię. Ty masz dwoje, ale z taką postawą jak ty masz, mówię, jak wszyscy będą mieli, mówię, to idź do pioruna, mówię do jasnej cholery”.

Ogłoszono czarny strajk, wywieszono czarną flagę, strajk głodowy. Odcięto nas od jakichkolwiek dostaw. Co dalej. Dostajemy wiadomość, że nasze żony z dziećmi wybierają się do nas, do zakładu pracy z jedzeniem. Co robić. Do nas strzelali. A kto da światło i będzie wiedział, że nie będą strzelali do naszych żon i dzieci? Co robić?

M.W.: Czy po tym, jak ten reportaż ukazał się, czy pani zyskała jakiś pozytywny oddźwięk, ludzie odzywali się, pisali, mówili, że ufamy?

J.J.: Mówili, że będą... Tego nie może sobie dzisiaj nikt wyobrazić. Po pierwsze: zaraz po przyjeździe, z materiałów, które miałam na gorąco – akurat nie ze Stoczni Gdańskiej, tylko ze Stoczni Gdyńskiej, zrobiłam reportaż, który pamiętam, że poszedł 9 września. Czyli 8 dni po podpisaniu umów. A jeszcze przed podpisaniem umów w Jastrzębiu Zdroju – bo to były trzy etapy umów tych sierpniowych. I wie pani, po emisji tego reportażu, tak się rozdzwoniły telefony, a była specjalna redakcja kontaktu ze słuchaczami, że w ogóle niemal zawisły, co sobie trudno wyobrazić. Dlatego, że ludzie z całej Polski usłyszeli sposób mówienia ze stoczni, ten który był po prostu dla nich niewyobrażalny. Tzn. ludzie, nie wiem, gdzieś tam w Rzeszowie, na Śląsku, w Lubogórze itd. To było, no, ważne. Z punktu widzenia, no dla mnie, jako dla dziennikarza, że byłam w tym momencie tą dziennikarką, która to przekazuje, było niesłychanie istotne. Ale powiem pani, że jeszcze większym dla mnie przeżyciem, no takim poczuciem sensu, czy takiej wartości mojej pracy, jako dziennikarza, to było kiedy już po stanie wojennym, czyli po ośmiu latach po stoczni i po okresie Solidarności,

kiedy emitowaliśmy mój reportaż „Polski Sierpień” – już ten całościowy, który pokazywał w całości...

M.W.: Czyli ta wersja, która zdobyła Prix Italia była dopiero po ośmiu latach wyemitowana?

J.J.: Ona była chyba raz wyemitowana w nocy, o 12 w nocy, bo inaczej by nie mogła pójść na Prix Italia. Tam w konkursie jest taki punkt, że to musi być audycja po emisji.

M.W.: Jak udało się ją przeszmugłować na antenę?

J.J.: Proszę pani, to była już decyzja prezesa. Bo oni chcieli, żeby moja audycja poszła.

M.W.: Aha...

J.J.: Tylko nie chcieli, żeby była nagłośniona w Polsce.

M.W.: Czyli: chcemy nagrody, ale po cichutku tak.

J.J.: Tak, tak. Cichcem została puszczona tuż przed 12 w nocy, bo wtedy program był tylko do 12 w nocy. Nie było nic później, wobec tego ta audycja szła tuż przed 12.

I muszę pani powiedzieć, że po tej emisji dostałam telefon od dziewczyny – bardzo żałuję, że nie zapisałam jej danych – która powiedziała, że właśnie posłuchała tej audycji i że chciała wyjechać z Polski i emigrować, i po wysłuchaniu tej audycji ona chce w Polsce zostać. Co może więcej dziennikarz, autor reportażu zyskać, niż taką reakcję słuchaczki.

M.W.: No a poglądy polityczne dziennikarza? Jakie ma pani zdanie? One powinny być, czy powinniśmy na starcie wiedzieć jakie poglądy ma dziennikarz, czy właśnie w pracy dziennikarza nie ma na nie miejsca, bo po prostu musi być pod tym względem, dziennikarz, przeźroczysty.

J.J.: To zależy w jakim programie. Jeśli uprawia się publicystykę, to dziennikarz absolutnie ma prawo do poglądów, bo on jakby przedstawia swój punkt widzenia. Natomiast jeśli dziennikarz przygotowuje wiadomości, to nie ma poglądów, on nie powinien mieć poglądów. On powinien wiedzieć, które fakty są ważne, a które są mniej ważne. Jakby już tak teoretycznie rzecz biorąc – wyczuwać hierarchię ważności danej sprawy. Poza tym, jeśli dziennikarz prowadzi dyskusję na zasadzie, że jest moderatorem, to dziennikarz powinien dać przede wszystkim możliwość jednakowego czasu wypowiedzenia się, stworzyć warunki, żeby każda ze stron mogła się wypowiedzieć. Z drugiej strony dziennikarz, nawet w takiej audycji, ma prawo zadawać pytania w imieniu słuchających. Nie powinien przekraczać pewnej granicy, w której jak gdyby ewidentnie się opowiada za jakąś partią, w wyborach właśnie za jakimś kandydatem.

M.W.: A dziennikarze, którzy uczestniczą w jakichś manifestacjach np.?

J.J.: No właśnie to mi się nie podoba. To mi się nie podoba. Tylko widzi pani, też się nad tym problemem zastanawiałam. Bo ja przyszłam, będąc w drugim obiegu, czyli w informacji alternatywnej w stosunku do oficjalnej rządowej – siłą rzeczy byłam dziennikarzem zaangażowanym ideowo, bo dziennikarzem, który nie publikował w ówczesnym Polskim Radiu, będącym po stanie wojennym ewidentną tubą...

M.W.: Polityczną.

J.J.: tak, tego reżimu. Tylko właśnie byłam w tej alternatywnej kulturze i w alternatywnym obiegu informacji, który też wybrał pewną drogę. W imię pewnych wartości, ale w opozycji politycznej, w stosunku do rządzących

wówczas jeszcze tych ekip komunistycznych. Wiem co to znaczy być dziennikarzem zaangażowanym, który... Siłą rzeczy, jak robiłam reportaże, zadawałam pytania, to też zadawałam z pewną intencją, żeby przekazać jakby mój obraz świata. I mój stosunek do tego, co się dzieje w Polsce. Że dziennikarz, to nie jest ten co idzie do premiera i pyta się w czym może pomóc, prawda.

[Fragment reportażu]: *Przywiodło nas tu poczucie odpowiedzialności za przyszłość ojczyzny.*

[*Lech Wałęsa*]: *Wszyscy Polacy będą nas rozliczać, z każdego słowa i z każdej decyzji. Z braku decyzji także. Po kilku miesiącach trudnych przygotowań, podobnych do łamania lodu, doszliśmy wreszcie do spotkania przy okrągłym stole. Trzeba takiej przebudowy, która państwo jednej partii uczyni państwem narodu i społeczeństwa.*

M.W.: Uczestniczyła pani w obradach okrągłego stołu, w podzespole ds. środków masowego przekazu. Policzyłam, że była pani wśród 39 członków. Były dwie kobiety i pani była jedną z nich. Czytałam to sprawozdanie z tego posiedzenia. Byłam bardzo ciekawa, jakie towarzyszyły tym posiedzeniom emocje, co oznaczało dla tych ludzi nowy ład, jak sobie wyobrażali nowe media. I tutaj chciałam przytoczyć początek tego sprawozdania: „Stwierdzamy konieczność budowy nowego ładu informacyjnego, który musi odzwierciedlać istniejący w świecie pluralizm, odpowiadać procesom demokratyzacji oraz odrzucać wszelki monopol w tej dziedzinie. Celem nowego ładu winna być możliwość wolnego udziału podmiotów politycznych, grup i jednostek we wszystkich formach komunikacji społecznej, czego jednym z warunków jest zniesienie cenzury.

J.J.: A ta cenzura jeszcze rok była. Była i Mazowiecki wcale nie chciał jej znieść.

M.W.: Nie?

J.J.: Była mu wygodna. Oczywiście! Widzi pani, na tym cała rzecz polega, że ci, którzy potem przychodzą, a krytykowali tamtych, to pewne rozwiązania były dla nich dobre.

M.W.: Ale jak to w ogóle się stało, że znalazła się pani na tych obradach?

J.J.: No jak się stało? Poszłam do Wójca i powiedziałam: „co to znaczy, nie ma nikogo z przedstawicieli audiowizualnych radia i telewizji? Tylko same pismaki, będą cytowały”.

No i – i wcisnęłam się.

M.W.: To proszę powiedzieć więcej, jak to wyglądało. No bo słyszymy, że obrady przy okrągłym stole, no ale jak to wygląda? Zbiera się grupa ludzi i myślą, no to te media będą wyglądały tak i tak?

J.J.: Te posiedzenia zaczynały się od rozmów między Geremkiem a Michnikiem w domach i tak dalej. Potem to przechodziło na działaczy z Solidarności – i wtedy się odbywało np. w kościele.

M.W.: Ale mówię teraz o Okrągłym Stole.

J.J.: Ja mówię też o Okrągłym Stole. Taka była droga do Okrągłego Stołu. Najpierw to gabinetowe rozmowy. Potem już włączają się działacze, prawda, to już jest mowa, że zrobi się taką imprezę w rodzaju Okrągłego Stołu. To były takie, no, dosyć trudne rozmowy. Ja wtedy, pamiętam: opracowałam, przedstawiłam trzy-etapowy proces uspołecznienia radia i telewizji.

M.W.: Co to znaczy?

J.J.: Aaa, no wie pani, to jest dzisiaj, jak bajka o żelaznym wilku. Ponieważ zakładaliśmy... Byliśmy w rzeczywistości komunistycznej, prawda, czyli wydawało się, że my tylko kosmetycznie coś tam zmieniamy. Ale ten mój proces polegał na tym, że jakby strona społeczna otrzymuje okienka w programie radiowym i telewizyjnym. Zresztą takie okienka dostaliśmy i jakbym je w pewnym sensie wywalczyła, bo były to okienka poza audycjami wyborczymi stricte, tylko publicystyczne, i w radiu i w telewizji. Szukaliśmy tematów, nasi dziennikarze – głównie zresztą ci, którzy byli wyrzuceni z Polskiego Radia, przygotowywali audycje. One jeszcze musiały być ocenzurowane, ale cenzura już wtedy się trzęsa i chyba nie mieliśmy żadnych problemów. Tych audycji w strukturze radiowej nie musiał podpisywać żaden szef, tylko ja. To był już mój podpis, który decydował, że ta audycja wejdzie na antenę. I wtedy wyobrażaliśmy sobie, że poszerzenie takich okienek doprowadzi do tego, że np. Jeden kanał – bo wtedy był Program Pierwszy, Program Drugi, Program Trzeci, prawda – że jeden z programów jest programem obywatelskim. I tam są emitowane audycje, które pokazują, przedstawiają różnego rodzaju organizacje pozarządowe, problemy związków zawodowych. No wszystkie problemy obywatelskie. Telewizja miała wtedy dwa programy – że jeden program telewizyjny jest programem państwowym, a drugi jest obywatelskim. Więc wie pani, no taka karkołomna kombinacja, ale to była kombinacja, która wychodziła z tamtej epoki, prawda.

MW: A miała szansę się powieść?

J.J.: Nie. Absolutnie nie. Po pierwsze dlatego, że do końca przedstawiciele władzy, tej komunistycznej, uważali, że nie wolno oddać telewizji. Więc to były straszne walki, nawet o tę jedną godzinę niezależną – obywatelską, czy potem przedwyborczą. Radio oficjalnie miało obowiązek, w wyniku tych podpisanych umów Okrągłego Stołu, dać nam możliwości nagrywania: studia i tak dalej. Ale oczywiście robili to w taki sposób, że dostaliśmy jeden pokój w podziemiach, ale nie dali nam magnetofonów, czy innych możliwości nagrywania...

MW: Czyli nagrywajcie, ale nie wiadomo na czym.

J.J.: No do studia wchodzić i nagrywać. Tylko w studiu. A myśmy chcieli przecież reportersko pokazywać, jeździć do tych naszych kandydatów i tak dalej. No i tutaj zorganizowaliśmy nasz sprzęt. Trochę tego sprzętu miałam, dlatego że w podziemiu miałam sprzęt swój. Myśmy mieli przysyłany z Zachodu. I kasy i sprzęt i wszystko. I to było przesłane samolotem. I z samolotu było odebrane przez naszych ludzi, w moim mieszkaniu, żeby to rozdawali. Także myśmy byli niezależni, dobrze zorganizowani. Więc mimo że... Oni nam tylko dawali to ostateczne studio. Ale trzeba było do tego studia przygotować materiał, prawda. I kiedy już po wyborach, zaraz po podpisaniu myśmy wchodzili w to stare radio. Jeszcze był wiceprezes z tamtego, starego rozdania. Co prawda on się trząsał, jak liść, osika i on mnie właśnie mianował na wicedyrektora Programu Pierwszego, bo chciał się przypodobać nowym władzom. No ale to i tak mu nie pomogło, potem go zdjeli.

M.W.: Brzmi dość podobnie do tego, co się dzieje teraz.

J.J.: Właśnie nie wiem, czy to takie jest podobne. Wydaje mi się, że dosyć łatwo robi się te porównania. Nie jestem przekonana, co pani ma na myśli, jakie podobieństwa tu są? To jest jednak inna epoka zupełnie, to jest nieporównywalne.

[Dźwięk]: Uwaga, uwaga, policja informuje: mamy stan epidemii...
- Jesteśmy przed Trójką radiową. Dzisiaj miała odbyć się 1999. lista przebojów.
(policja): Prosimy o opuszczenie tego miejsca.

M.W.: Po trzydziestu latach od transformacji dochodzimy do momentu, w którym wraca słowo cenzura. Dla mnie to było słowo z zamierzchłych czasów, takie już trącające myszką, i że to się nigdy nie wydarzy, bo żyjemy w takim świecie. A jak pani to ocenia w kontekście Polskiego Radia i Radiowej Trójki?

J.J.: Wie pani no, wraca dlatego, że nasza demokracja poszła w takim kierunku, nasz ustrój poszedł w takim kierunku, że partie, które zdobywają władzę, dzielą się. Tak samo traktowane jest radio i telewizja. Jak łup. To nie jest tak, że PO nagle była bardziej demokratyczna. Dokładnie wykorzystwała te same instrumenty. Drugi PiS poszedł jeszcze dalej. Opozycja, czy kanały informacyjne, które są antyrządowe nie przyznają, że coś jest dobrego, tylko zawsze znajdują jakiś błąd. Po to jakby, żeby do nikogo nie mieć zaufania.

M.W.: Ale mówimy: „media – czwarta władza”. Czy ona jest władzą, czy to jest taki kolejny zwrot?

J.J.: Jest, w jakimś sensie jest władzą. Jest władzą dlatego, że jednak upublicznienie – mamy dzisiaj taki czas, że dziennikarze jednak mogą się wdrzeć w różne tajemnice jeśli to jest im na rękę lub tej bańce, która chce się wdrzeć w tajemnice drugiej bańki. To się mogą wdrzeć.

M.W.: A czy widzi pani scenariusz, w którym budujemy jakieś porozumienie społeczne i jednak jesteśmy w stanie się dogadać w ramach mediów?

J.J.: Wie pani, w tym co piszę staram się ciągle apelować o taką sprawę. No się mówi, że się jest symetrystą. Ta debata publiczna, z którą mamy dzisiaj do czynienia, to jest taka debata właśnie pomiędzy bańkami. Coś tam W Sieci napisze, to to wykorzysta Newsweek i na odwrót, prawda. Szydzą z siebie. Czy stacje TVP, która stała się dzisiaj ewidentnie linią programową prorządową. Nawet rządzący, a i nawet przewodniczący tzw. Rady Mediów Narodowych też mówi, że to jest stacja, która ma rzeczywiście linię programową rządu, bo inne są przeciwne. Więc dla pluralizmu całej...

M.W.: Czyli zmieniło się trochę rozumienie słowa pluralizm.

J.J.: Tak.

MW: Każda stacja ma swoje poglądy.

J.J.: Widzi pani, ten pluralizm powinien funkcjonować w mediach publicznych, bo on by dał szansę, żeby podejść do zagadnień takich wspólnych, no a dzisiaj nie ma takich debat. W ogóle nie ma... komentarz nie jest oddzielony od informacji. Kiedyś to była taka zasada, prawda, że trzeba oddzielić informację od komentarza. Tymczasem, w sposobie podawania informacji już jest komentarz. Ja już abstrahuję od tego, że u nas wytworzył się specyficzny rodzaj dziennikarstwa polegający na tym, że dziennikarz czuje się dyskutantem – na równi, jakby, z gościem zaproszonym i właściwie więcej mówi niż ten gość. I przede wszystkim chce przekazać swoje poglądy, a mało go interesują poglądy gościa...

M.W.: Jest gwiazdą.

J.J.: Tak. Albo zadaje pytania, w których już jest odpowiedź, prawda. Nie ma pytań otwartych, takich że on chciałby się czegoś dowiedzieć, bo on już wie lepiej. Dziennikarz wie lepiej. No i najczęściej jest zaangażowany. Więc jak jest sprytny i taki dosyć medialny i ma dobry wizerunek, no to już, że tak powiem,

funkcjonuje na fali. Pamiętam: w dawnych czasach miałam takie powiedzenie, że my jako dziennikarze powinniśmy, jak lekarze stosować zasadę, że najważniejsze nie szkodzić. Więc dziennikarz musi ciągle ładować te akumulatory.

M.W.: W różnych miejscach.

J.J.: I z różnych miejsc. I to jakoś w sobie przetwarzać i budować swój obraz świata.

M.W.: Chciałam jeszcze wrócić i z panią zmierzyć pewne tezy, które pojawiają się w magazynie. I jest taka myśl, właśnie à propos zmęczenia, bo to też pojawiło się w naszej rozmowie. Ludzie są zmęczeni negatywnymi wiadomościami, polaryzacją i sensacyjnością mediów. „W trakcie swojej dziennikarskiej edukacji wielokrotnie słyszałam”, to pisze redaktorka naczelna, „że dobry materiał to czyjaś tragedia. Najlepszy reportaż to taki, który rozdziera głowę i albo serce”. Tutaj jest ta podstawowa zasada, że reportaż to konflikt, materiał to konflikt, czy bez tego się nie da?

J.J.: Wie pani, to musi być, jeśli już się skupiamy na reportażu, to musi być konflikt wartości. Nie że konflikt zła z dobrem, tylko często jest konflikt racji. Konflikt różnych potrzeb, czy zaspakajania różnych potrzeb, które się wykluczają. A ciekawy reportaż musi pokazywać to, jak człowiek się zмага z tym, co przynosi mu życie. Jak przegrywa, to dlaczego.

[Fragment reportażu]: *Były dwie symboliczne osoby tego strajku: Pani Ania Walentynowicz od której zaczął się strajk i pan Lech Wałęsa, który prowadził ten strajk, i który wygrał. [Lech Wałęsa]: Proszę pana, ja wtedy myślałem o innych rzeczach, ja myślałem, jak wygrać z komuną. Jak dobrać, kogo dobrać. Jaka Walentynowicz, co mi Walentynowicz przeszkadzała. To jej urojenia. Ja grzeczny nie byłem, ja dbałem o te ludzkie rzeczy, bo faktycznie... Ja miałem inne wychowanie. Walczący, mocny, a nie tam – a gdzie pani jest, a może panią zabrać. [Anna Walentynowicz]: Ja nie będę biegła za nim, bo on wyskakuje z autobusu i biegnie, bo chce być pierwszy. I potem wszyscy ci, którzy chcą się załapać do kamery no to za nim biegną. Ja nie będę biegła, ja jestem kobietą, starszą, i nie będę za nim gonić.*

M.W.: Ale ta polityka panią kręci, mówiąc najkrócej.

J.J.: Tak, ale wie pani, polityka mnie kręci, ale ja nie traktuję tego tak, że to jest scena, którą ja obserwuję. Raz ten, potem tamten. Dla mnie polityka, to jest sytuacja, w jakiej jest mój kraj. Jakie siły, kto decyduje o tym, że jest tak a nie inaczej? O naszym życiu, o życiu moim i o życiu każdego człowieka? Jakie tu są mechanizmy?

M.W.: No ale właśnie, gdybyśmy teraz miały zrobić taki okrągły stół 2.0, to jakimi tematami, jeśli chodzi o środki masowego przekazu, chciałyby się pani zająć w pierwszej kolejności?

J.J.: Myślę, że rozumienie mediów, co one mogą nam dać. One nie muszą być idealne. Nigdy nie będą. Natomiast my musimy rozumieć mechanizmy funkcjonowania tych mediów. Te mechanizmy się zmieniają. Zmieniły się w momencie, kiedy wymyślono „24 na godzinę”. To znaczy, że pewne informacje zaczęły być non stop powtarzane. 24 godzin nikt nie jest w stanie nowymi materiałami uzupełnić.

Siłą rzeczy, jeśli są powtarzane pewne informacje, to one już zaczynają działać mechanizmem goebbelsowskim. Nie ma się co obrażać, no bo akurat on to

sformułował. Ale jeśli coś jest ciągle powtarzane, w odpowiedniej intonacji, no to jest wciskane w głowę.

M.W.: Z jakimi tematami polskie media sobie nie radzą w pani odczuciu, albo poświęcają im za mało uwagi?

J.J.: Spoto jest tzw. białych plam tematycznych. Jest nadprodukcja audycji, programów politycznych, które postrzegają rzeczywistość jako pewną sceną politycznych i obserwują tę scenę w kategoriach personalnych i kto kogo dosięgnie. I tego jest w nadmiarze. Natomiast, brakuje mi tematów spoza Warszawy, takich centralnych i takich, które pokazują jakąś nową, ciekawą aktywność ludzi, albo taką gdzie ludzie się spotykają w tych naszych czasach. Tu i teraz. Nawet bym powiedziała w tych ostatnich, czyli związanych z pandemią. Tak naprawdę o tej pandemii jesteśmy tylko jednowymiarowo informowani. Albo na podstawie tego ile zarażeń, ile zgonów, albo jak tę pandemię wykorzystują siły polityczne w swojej walce, albo - co też jest bardzo pozytywne - programów, w których wystarczy zadać pytanie, czyli prawniczych.

M.W.: Ponarzekaliśmy na te media, ale jeśli chodzi o te zmiany, czy dostrzega pani jakieś pozytywne rzeczy? Co się zmieniło na korzyść?

J.J.: Właściwie to mi się podoba to, że nie ma tematów tabu, tak na dobrą sprawę. Tylko oczywiście jedna bańka ma swoje tematy, tylko wejdzie do tej drugiej bańki. I na odwrót. Wobec tego per saldo... Wie pani, parę lat temu, kiedy w katastrofie zginął śp. Geremek, nikt nie śmiał interesować się tą katastrofą i podać nazwisko kobiety, z którą jechał - ona przeżyła. Myślę, że dzisiaj to już byłoby nie do pomyślenia. A wtedy istniała jakaś taka dziwna umowa, że tego tematu nie drążymy. To jest z punktu widzenia życia społecznego dobre. Jeśli ktoś robi jakieś przecherki, to prędzej czy później do tego dotrą, jeśli jest osobą publiczną oczywiście.

M.W.: Pani Janino, przeszliśmy przez różne dziesięciolecia i w radiu publicznym, i w mediach. Trochę mówiąc językiem komików, to był roast mediów. Usmażyliśmy media w tej rozmowie, bo jednak wychodzi na to, że bardziej negatywnie oceniamy niż pozytywnie.

J.J.: No a dlaczego mamy pozytywnie? No są jakie są, wie pani.

M.W.: No ale np. nie bała się pani ostatnio, że rozpadnie się Radiowa Trójka?

J.J.: Wie pani, no, oczywiście wiem, że jest w bardzo trudnej sytuacji. No ale widzi pani, znalazł się Strzyczkowski i to nie jest tak, że ktoś - bo tak interpretują - że już doszli do wniosku, że trzeba popuścić, bo przecież to może się odbić na Dudzie i wobec tego trzeba wrzucić coś, taki ochłap, czyli żeby zatrzymać to odejście dziennikarzy itd., więc nominuje się takiego, żeby był przyjęty. A to jest wszystko nieprawda, dlatego że sami ci ludzie z Trójki, i sam ten Strzyczkowski, który jest wielkim patriotą tej Trójki walczył o to, żeby to zatrzymać, prawda, i tam chodził po tych wszystkich premierach, wicepremierach itd. Będzie to tak przedstawione, że to jest nowa figura, nowa marionetka, tak jak ten niestety nieszczęsny Tomek Kowalczewski, który rzeczywiście no, nie zdał egzaminu. A tu jest inna sytuacja, więc ja wierzę, w jakiś sposób wierzę w Polskie Radio. Ja całe życie byłam związana z tą instytucją i uważam, że ona ma swoją misję, i że mimo wszystko ta misja jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, że ludzie, którzy zaczęli pracować w Polskim Radiu to jakoś czują. Wierzę, że czują to także i młodszy pracownicy. Gdzieś tam w środku wierzę, że radio wyjdzie na swoje, jeśli by się udało tę całą politykę jakoś przekierować, bo już jak długo można tak ze

sobą walczyć? Zamachu stanu się nie robi, trzeba w jakiś sposób spokojnie to wszystko.

Wie pani, ja wierzę w Polskie Radio, wierzę, że jakoś z tego wszystkiego wyjdziemy.

MW: Dziękuję bardzo za rozmowę.

M.W.: W trzecim odcinku gościliśmy panią Janinę Jankowską.

J.J.: Ja zawsze słuchałam radia.

M.W.: Nawet jak przyjechałam tutaj pani słuchała radia, a nawet dwóch, bo na każdym piętrze było inne.

J.J.: I w łazience.

M.W.: W łazience też?

A czy każde radio nadaje inną stację równocześnie, czy to jest ta sama?

J.J.: Różnie bywa. Jeśli przerzucę, to inne stacje.

M.W.: Czyli pluralizm ma pani pod swoim dachem.

J.J.: Tak. Jak się kąpię, to zawsze słucham radia.

M.W.: To jest miłość. To jest miłość.

M.W.: Słuchaliście podcastu non/fiction „na ucho”. Ja nazywam się Martyna Wojtkowska, a za realizację dźwiękową odcinka odpowiada Sounds and Stories.

Podkast non/fiction „na ucho” dofinansowany jest z Narodowego Centrum Kultury w ramach programu „Kultura w Sieci”.